



PARADA



ROK III

NIEDZIELA, 7 PAŹDZIERNIKA 1945 R.
SUNDAY, OCTOBER 7, 1945

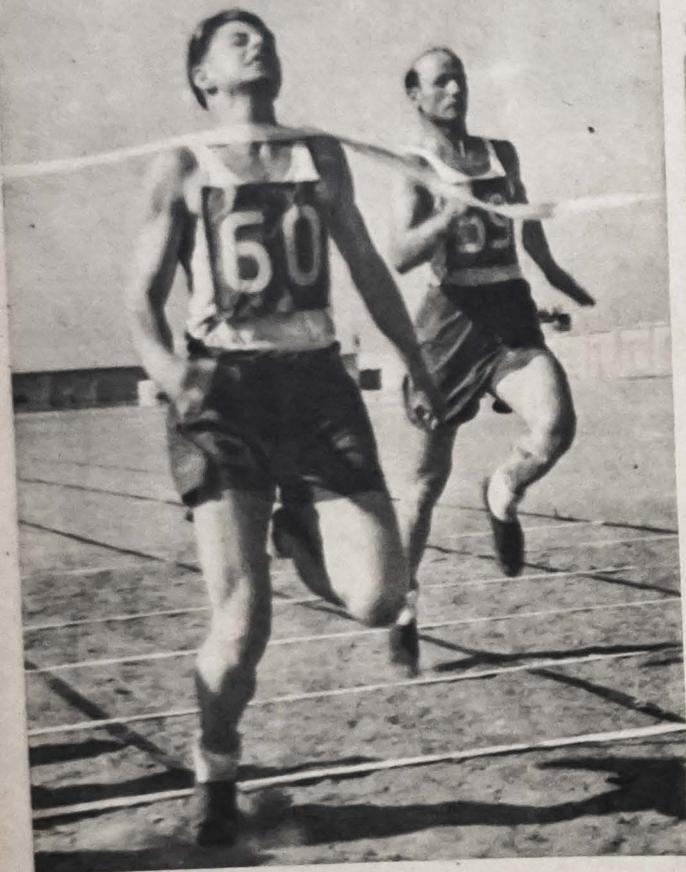
Nr 21 (65)

CENA EGZEMPLARZA: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 6 d.,
w Niemczech 12 ltrów, we Francji 5 fr.

Bieg na przelaj
o
mistrzostwo
Korpusu

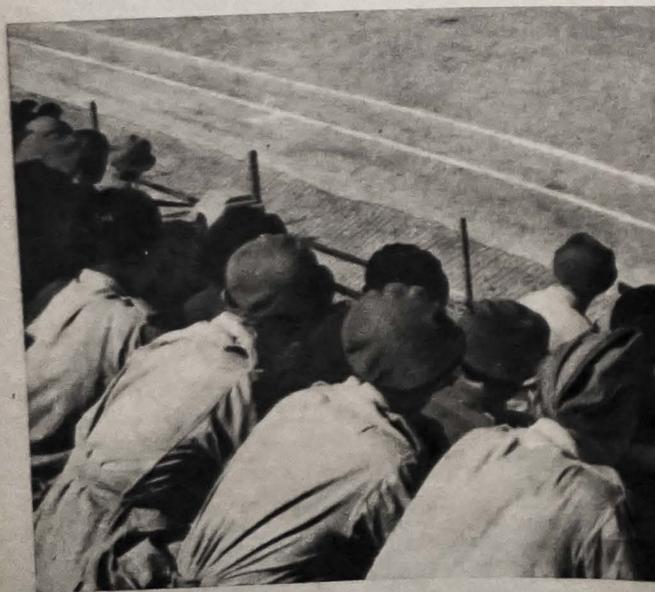


Dowódca 2 Korpusu Gen. Dyw. Wł. Anders przechodzi przed frontem zawodników



Maltazowski z 3 DSK i Myszowski z 7 DP na finiszu

Dwaj zwycięzcy



DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE
ROK III

PARADA

NIEDZIELA, 7 PAŹDZIERNIKA 1945

FORTNIGHTLY REVIEW OF
THE POLISH ARMY IN THE EAST

№ 21 (65)



W Gimnazjum Lotniczym — Helopolis

Na okładce: Powitanie Generała Wł. Andersa w Szkole Mechanicznej w Tel-el-Kebir

DOWÓDCA 2 KORPUSU
GEN. DYW. WŁ. ANDERS
NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

W dniu 16 września b. r. przybył na Środkowy Wschód Dowódca 2 Korpusu Gen. Dyw. Wł. Anders w celu dokonania inspekcji oddziałów Wojska, Instytucji i szkół wojskowych. W ciągu ośmiomiesięcznego pobytu Generał Anders odwiedził wszystkie jednostki i oddziały stacjonujące na terenie Egiptu i Palestyny, oraz odbył szereg konferencji i rozmów z przedstawicielami brytyjskich władz wojskowych. Szczególną uwagę poświęcił Dowódca 2 Korpusu szkołom wojskowym, interesując się przebiegiem nauczania i wychowaniem młodzieży.

Była to pierwsza wizyta Generała Andersa na Środkowym Wschodzie od chwili, kiedy na czele 2 Korpusu — który tu na Środkowym Wschodzie otrzymał swoją zaprawę bojową — podjął walkę na ziemi włoskiej. Mimo wielkiej odległości

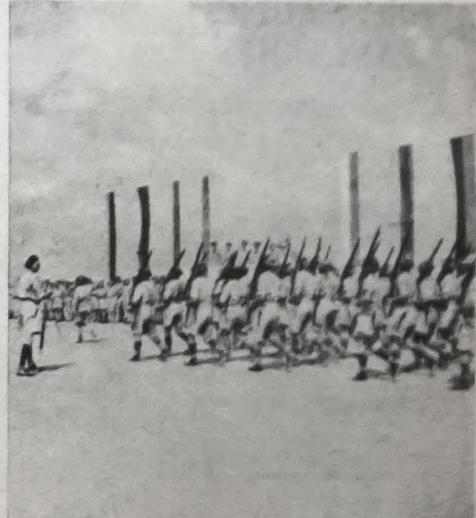
oddziały Wojska na Środkowym Wschodzie stanowiły zawsze jedną rodzinę z 2 Korpusem i przeżywały wraz z nim jego walki, trudy i zwycięstwa, które okryły chwalebny imię Polski i stanowiły realny wkład Polaków do Zwycięstwa Sprzymierzonych.

Wizyta Dowódcy 2 Korpusu Gen. Dyw. Wł. Andersa stała się wspaniałą manifestacją owej łączności i solidarności jaka skupia dziś wszystkich Polaków wokół sztandarów Armii Polskiej.

Żołnierz witał Generała Andersa nie tylko jako swojego Przełożonego i Dowódcę, lecz również jako Tego, który wyprowadził go z Rosji, z którym i dziś w tych ciężkich chwilach związał swój żołnierski los i nadzieję zwycięstwa sprawiedliwej Sprawy Polskiej.

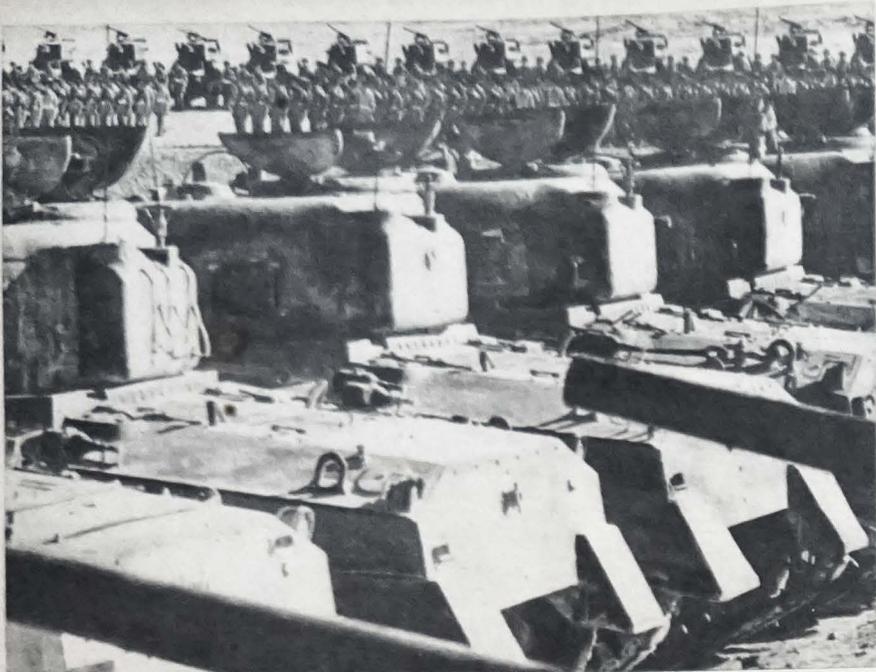


Na lotnisku w Kairze witał Generała Wł. Andersa Dowódca Jedn. Wojska na Śr. Wsch. Gen. Bryg. J. Wiatr w towarzystwie wyższych oficerów



W czasie swego pobytu w M. p. Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie, Dowódca 2 Korpusu Gen. Dyw. Wł. Anders dokonał przeglądu oddziałów i służb



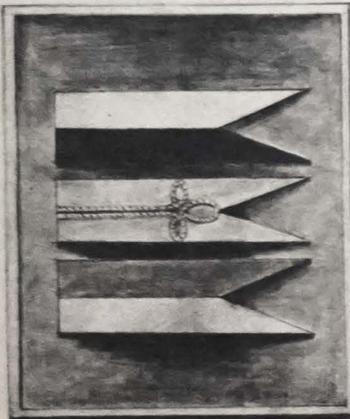


Do jednego z miłszych dni pobytu Gen. Andersa na Śr. Wschodzie należał imponujący przegląd pułków Wielkopolskiej Brygady Pancerniej



Dowódca 2 Korpusu przemawia z czołgu do żołnierzy Brygady

W WIELKOPOLSKIEJ BRYGADZIE PANCERNEJ



Gen. Dym. Wł. Anders w towarzystwie Dowódcy Brygady Płk. B w czasie defilady oddziałów Brygady



Z przemówień Generała Wł. Andersa

Nie ma przykładu w historii, aby żołnierz, który przeszedł przez tyle cierpień i na pustyni, potrafił okazać miłość i poświęcenie. Biliśmy za te miasta Niemców, nie ponajlepsze dywizje niemieckie, nie ponajlepsze ani jednej nieprzyjacielskie fortece, waliliśmy takimi nieprzyjacielskimi fortecami, które były uznane za nie do wzięcia i których inne narody nie mogły zdobyć. Szczytem tego wysiłku żołnierza było zdobycie Monte Cassino. Pobicie Niemców wyswobodziło tysiące naszych chłopców, wcielonych przemocą do armii niemieckiej.

Chcę się cofnąć w lata odległe — do Cudu nad Wisłą, gdzie nauca bolszewicka została pobita, a naród polski obronił swoją wolność. Na mocy pokoju, zaproponowanego przez bolszewików, Polska otrzymała na wschodzie ziemie, których polskość nigdy nie była poddawana w wątpliwość. Pamiętamy, że do r. 1939 nie było mowy o tym, że Wilno i Lubów są rosyjskimi miastami, że mówi się tam po rosyjsku. Stwierdził to nawet Lenin, że Polska mogła wleźć do Rosji, wcielonych przemocą do armii niemieckiej.

Chcę się cofnąć w lata odległe — do Cudu nad Wisłą, gdzie nauca bolszewicka została pobita, a naród polski obronił swoją wolność. Na mocy pokoju, zaproponowanego przez bolszewików, Polska otrzymała na wschodzie ziemie, których polskość nigdy nie była poddawana w wątpliwość. Pamiętamy, że do r. 1939 nie było mowy o tym, że Wilno i Lubów są rosyjskimi miastami, że mówi się tam po rosyjsku. Stwierdził to nawet Lenin, że Polska mogła wleźć do Rosji, wcielonych przemocą do armii niemieckiej.

Pomimo, że wojna została wygrana przez naszych Sojuszników, Polska jeszcze nie może się cieszyć zwycięstwem. W Polsce nie zapanowała wolność ani sprawiedliwość. Panuje tam gwałt i przemoc. Gdy Rosjanie weszli do Kraju, ludność nasza miała pewne nadzieje, że jarzmo niemieckie zostanie zrzucone a w Polsce zapanuje wolność. Wystarczyło jednakże trzy tygodnie czasu, aby się przekonać co przyniosła okupacja sowiecka. Bolszewicy wywożą z Polski wszystko co się da wywieźć. Węgiel nasz ze Śląska wywozi się do Rosji w polskich wagonach, które nie wracają. Rozpoczęły się masowe aresztowania i pogromy, dokonywane przez NKWD. Polska o tych wszystkich rzeczach wie. 95 procent Narodu Polskiego uznało, że nie ma dziś w Kraju wolności i są sercem i duszą z nami. Naród Polski powtarza dziś tak, jak i my: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”.

Nie ma wśród nas ani jednego, któryby nie chciał ucałować ziemi ojczyznej. Do Polski chcemy wrócić wszyscy, ale do Polski wolnej, w której decydować będzie Polak i rząd reprezentował będzie wolę Narodu Polskiego. Do takiej Polski wrócimy z naszymi sztafardami spod Monte Cassino i Bolonii jak przystało żołnierzowi, który walczył o wolność, sprawiedliwość i prawdę. Czekają nas jednak jeszcze ciężkie chwile. I dlatego zgodziłem się na to, aby ci spośród nas, którzy czują się stabi — od nas odeszli.

Przyjdzie czas, w którym świat zrozumie, że bez Polski wolnej i niepodległej nie ma pokoju światowego. Wierzę, że pomimo trudności, które jeszcze są przed nami, do wolnej Polski wrócimy i że żołnierz polski, za którego od czterech lat ponoszę odpowiedzialność, do wolności doprowadzi.



W Gimnazjum Lotniczym w Heliopolis Gen. Władysław Anders zwiedził urządzenie i warsztaty szkoły. Na jego cześć uczniowie zorganizowali koncert chóru i orkiestry gimnazjalnej

W Szkole Mechanicznej w Tel-El-Kebir najmłodszy z Junaków wręczył Dowódcy 2 Korpusu kwiaty



Przegląd Kompanii Szkoły: na zdjęciu widoczni — Dowódca 2 Korpusu, Bryg. Frith, który towarzyszył Gen. Wł. Andersowi w czasie inspekcji na Śr. Wschodzie, oraz Gen. Bryg. J. Wiatr



G. I. wracają do domu

Korespondencja własna „Parady”
ROMAN FAJANS



Latające Fortece na lotnisku w Casablance. Żołnierze amerykańscy wsiadają do samolotu

wiele o lotnictwie amerykańskim, o jego niesłychanym potencjale wojennym, o jego masowych nalotach, w których brało nie raz udział po tysiąc i więcej ciężkich bombowców. Póki jednak wojna trwała, zajmowano się, siłą rzeczy, jedynie potęgą ofensywną tego lotnictwa.

Istres, Casablanka i Port Lyautey stanowią obecnie trzy olbrzymie ośrodki akcji repatriacyjnej żołnierzy USA z Europy i Dalekiego Wschodu do ich ojczyzny. Port Lyautey jest również i centrem repatriacji tysięcy Francuzów — uchodźców, których losy wojny zagnały do Maroka. Istres — to ośrodek tranzytowy, w którym koncentrowani są weterani amerykańscy z Europy. Stąd latają-

cymi fortecami przewożeni są do Casablanki. Wielki port marokański stanowi stację zborną dla GI, przybywających z Europy i Pacyfiku. Z tej stacji zbiorczy wysyłani są oni, znowu latającymi fortecami, do domu, do Stanów Zjednoczonych. Z Port Lyautey wreszcie latająca forteca, które przywoziły żołnierzy z Istres, zabierają z powrotem do Stanów owych francuskich uchodźców, których tysiące przebywają w Maroku od roku 1940—41.

Baza w Istres wysłała do Casablanki, w ciągu dziesięciu tygodni, 35.000 ludzi, z Maroka zaś samoloty jej przywoziły do Francji ponad 11.000 uchodźców cywilnych. Casablanka wysłała do Stanów

Transport zaopatrzenia i poczty

Nasza latająca forteca jest srebrzysta i nazywa się „Mary i Danny”. „Nasza” to znaczy grupy dwunastu korespondentów wojennych, zaproszonych przez lotnictwo USA do odbycia tej bajecznej podróży. W ciągu sześciu dni przeleć mamy sześć tysięcy kilometrów: z Paryża do Istres (pod Marsylią), z Istres do Casablanki (Maroko), potem do Port Lyautey i Rabat i wreszcie, przez Istres, z powrotem do Paryża.

Płk. Mustoe, dowódca 40 eskadry bombowców USA, udzielił nam na czas tej wycieczki, ową fortecę latającą. Gospodarze naszej latającej fortecy, czyli lotnicy, nie mają w sumie zbyt wiele lat. Nawigator ma około 21, pozostali jeszcze mniej. Nie przeszkadza im to jednak bynajmniej kierować bombowcem po mistrzowsku, jak to przekonaliśmy się mieliśmy nieraz o tym sami.

Dlaczego wybrano nam trasę Istres—Casablanka—Port Lyautey? Bo właśnie na tej trasie i w tych trzech wielkich bazach lotnictwa amerykańskiego przestawia się już całkowicie na gigantycznie zakrojoną pracę pokojową. Od pierwszej chwili przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny, mówiono i pisano



Sultan Maroka zwiedza Latającą Fortecę

40.000 ludzi miesięcznie. Jeśli wziąć pod uwagę, że cała ta akcja prowadzona jest wyłącznie latającymi fortecami i że przeciętna pojemność takiego aparatu wynosi ca. 35 ludzi, można wyobrazić sobie, ile pracy i jakich cudów organizacji trzeba było, by podołać zadaniu.

Zaczęliśmy naszą podróż od Istres. Jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej istniała tam francuska baza lotnicza. W latach 1940—43 Niemcy rozbudowali ją i stworzyli tu silną bazę swej „Luftwaffe”. To wszystko jednak było niczym w porównaniu z tym, co uczynili obecnie z Istres baraków i budynków, otoczone siecią najspanialej urządzonych lotnisk. Stworzono to wszystko wśród kompletnego pustkowi, w okolicy, przypominającej żywo najbardziej ponure fragmenty pustyni irackiej. Tutaj, w Istres, stacjonowana jest właśnie 40 eskadra bombowców USA.

W czasie wojny 40 eskadra złożona była z trzech „grup”: 92, 305 i 306. Jej wyłącznym typem aparatu była i jest latająca forteca. W ciągu dwóch i pół lat 40 eskadra wykonała ponad 900 misji, skierowanych przeciw taktycznym i strategicznym obiektom nieprzyjacielskim. Bilansem ogólnym tych 900 misji jest: 25.793 lotów indywidualnych i 62.151 ton zrzuconych bomb.

„Zielony program” jest to, w urzędowym języku, definicja wielkiego ruchu repatriacyjnego wojsk, który drogą powietrzną przeprowadzany jest obecnie na trasie Istres—Casablanka. Biorą w nim udział dwie grupy ciężkich bombowców: jedna, należąca od dawna do 40 eskadry (92) i druga, przydzielona do niej nie dawno (384). Samoloty tych dwu grup przewożą około 700 GI dziennie z Istres do Casablanki. Tam, w Maroku, ludzie ci dostają się pod opiekę innej wielkiej jednostki lotnictwa USA (o której mowa będzie poniżej), która ekspeduje ich do Stanów Zjednoczonych.

Przyjęci niezmiernie gościnnie przez 40 eskadrę, spędziliśmy w Istres dwa dni i zdołaliśmy zwiedzić dokładnie tę bazę oraz zapoznać się z jej pracą. Na jutro po przylocie, byliśmy obecni na jednym z lotnisk, przy odlocie GI do Casablanki. Szarżało zaledwie, gdy przybyliśmy na lotnisko. GI byli już zgromadzeni dokoła swych samolotów i oficerowie rozdawali im spadochrony i pływalki, objaśniając i demonstrując ich sposób użycia. Odlatujący żołnierze należeli wszyscy do 66 dywizji piechoty, której znakiem jest pantera.

Po paru godzinach odlecieliśmy i my także. Podróż do Casablanki trwa około sześciu godzin (bez lądowania) i trasa jej wiodzie najszerszą drogą przez Hiszpanię. Mijaliśmy kolejno Barcelonę, Walencję, Alicante, Malagę, Almerię, czasem widziane zdala, a czasem zupełnie nie widoczne. Później był Gibraltar, ta potężna twierdza skalista, strzegąca zazdrośnie dostępu do Morza Śródziemnego. By umożliwić nam dobrą widoczność, pilot nasz zniżył lot do bardzo nie wielkiej wysokości i okrążył dwukrotnie cypel. Pogoda była piękna i widok, z góry, niezrównany. Doskonale widać było słynną skałę gibraltarską, panującą nad cieśniną, domy, kościoły i, nieco na uboczu, sąsiednie La Linea. Po chwili byliśmy już nad Afryką. Przepłynęliśmy ponad białym Tangerem, Rabatem i wylądowaliśmy w Casablance. Tutaj, znaleźliśmy się w królestwie innej wielkiej jednostki amerykańskiego lotnictwa: Północno-Afrykańskiej dywizji ATC (Air-Transport-Command).

Teren działalności tej dywizji północno-afrykańskiej jest ogromny. Rozciąga się on wzdłuż całej Afryki, od Johannesburga do Casablanki, Algieru i Tunisu, oraz obejmuje dużą część Azji, z Teheranem, Accra i Karachi. Należą doń Dakar, Natal, Kair etc. Ta dywizja powietrzna utrzymuje łączność między pięcioma kontynentami i przewozi dziesiątki tysięcy pasażerów z obu Ameryk do Europy, poprzez Natal i Dakar, do Eurazji i do Azji. Jej główne szlaki komunikacyjne pokrywają łącznie 37.000 km.

Dywizja północno-afrykańska ma wielkie zadania do spełnienia. Po kapitulacji Niemiec trzeba było jak najszybciej przetransportować na Daleki Wschód jak najwięcej wojsk amerykańskich z Europy. Do tej chwili linie tej dywizji przewoziły miesięcznie przeciętnie około 8.500 osób. Nagle, z dnia na dzień, trzeba było zapewnić transport powietrzny dla 48.000 miesięcznie. Ale to nie wszystko jeszcze. Początkowo zdecydowano, że wojska USA przetrzucane będą z Europy na Daleki Wschód drogą na Kair, Karachi, czyli na Indie. Cały olbrzymi aparat nastawiony został wtedy na kierunek wschodni. Przyszła jednak rozkaz, by transport odbywał się via Ameryka. Natychmiast powiększono wyjątkowo ilość fortec latających C-54-s, używanych do tego rodzaju transportów. Przeprowadzono olbrzymie roboty budowlane w ważniejszych bazach, takich jak Casablanka, Dakar, Natal itp. Nie wystarczy bowiem zbudować w bazach tego rodzaju same tylko lotniska, choćby najnowocześniejsze urządzone. Każda taka baza stanowi całe miasto dla siebie, w którym GI znaleź-

Na ostatnim etapie przed Ameryką



winien wszystko, czego mu potrzeba: wygodne łóżko w schludnym baraku, obfite pożywienie, PK (sklep żołnierski), kinematograf, klub, pomoc lekarską i sto innych rzeczy. Trzeba było więc stworzyć to wszystko. I tak, w niezwykle krótkim czasie, zmontowano np. w Dakarze bazę na 20.000 ludzi miesięcznego tranzytu.

Zadania bazy w Casablance są oczywiście jeszcze daleko większe. Jak już wspomnieliśmy, baza ta przyjmuje obecnie i wysła do Ameryki około 40.000 ludzi miesięcznie. To też stanowi ona prawdziwe miasto lotnicze. W wyniku tej organizacji, zupełnie nie do pomyślenia w warunkach innych, niż amerykańskie, samoloty USA, nalożone powracającymi GI, przelatują obecnie Atlantyk w odstępach sześciominutowych.

Jednym z najważniejszych punktów bazy w Casablance jest obóz przejściowy, „Camp Dushane”, w którym GI spędzają 48 godzin, przed odletem do Stanów. Jest to całe miasto namiotów, zaopatrzone we wszystko, co potrzebne jest żołnierzowi podczas krótkiego pobytu. W chwili, gdy odwiedzałem Camp Dushane, przebywało w nim 6.000 żołnierzy amerykańskich. Można było spotkać wśród nich weteranów z Francji, Niemiec, Austrii, Czechosłowacji oraz żołnierzy z Dalekiego Wschodu, z Burmy, Chin, Okinawy i Filipin. Wszyscy oni spytują się tu, w obozie, który jest dla nich ostatnim etapem, przed powrotem do ojczyzny.

W tymże Camp Dushane jadłem obiad w stołówce żołnierskiej, w towarzystwie trzech starszych sierżantów-lotników, przybyłych w przeddzień do Casablanki z Burmy. Byli to Herbert L. Johnson z Savannah, absolwent wyższej szkoły handlowej, Harold Krasny z Cleveland i George F. Burke z Filadelfii. Wszyscy trzej służyli dłużej czas w Burmie, w amerykańskim lotnictwie transportowym, i dostarczali broń, amunicję i żywność do Chin. Po zawiadnięciu przez Japonczyków głośną drogą birmańską, zao-

patrzenie Chin odbywało się, w ciągu długiego czasu, jedynie drogą powietrzną, z Burmy. Rozmówcy moi należeli do tych lotników, którzy obsługiwali tę linię, najtrudniejszą chyba ze wszystkich na świecie. Wszyscy trzej są młodzi. Wszyscy trzej mają brytyjskie D. F. C. „with bars”. Wszyscy trzej stwierdzają spokojnie, że przeszli piekło za życia.

W Casablance i Port Lyautey pracuje dzień i noc, bez chwili przerwy. Tysiące ludzi i Amerykanów i tubylców, pracuje nad rozbudową lotnisk i nad nowymi instalacjami. Ruch powietrzny jest tak wielki, że nieraz samolot musi czekać 20—30 minut na możliwość lądowania. Sam widziałem, jak z lotniska w Casablance latające fortele startowały w odstępach parominutowych w ciągu całego niemal dnia. Organizacja i sprawność tej pracy są zadziwiające.

W drodze powrotnej, w Istres, natrafiliśmy na wielki zjazd. Baza tamtejsza gościła właśnie dziesięciu członków Kongresu USA oraz dwóch wysokich szeregów oficerów lotnictwa amerykańskiego w Europie: dowódcę dywizji lotniczej, generała-majora Howard M. Turner'a i jego szefa sztabu, generała brygady Bartlett A. Beaman'a. Zarówno „kongresmeni”, jak i dowódcy amerykańscy żywo interesowali się przebiegiem naszej wycieczki oraz wrażeniami, jakie odnieśliśmy.

W Istres, ostatniego dnia podróży, spędziliśmy niezapomniany wieczór w tamtejszym klubie oficerów, w towarzystwie nowych naszych przyjaciół, oficerów lotnictwa USA. Młody porucznik-pilot z Texas grał nam długo Bethovena, Szopena, Albeniza. Grał doskonale, z głębokim uczuciem. Kolejny jego otoczył fortepian i słuchał w skupieniu. Był między nimi chłopcy z Nowego Jorku i Chicago, z Kalifornii i Detroit, z San Francisco i Caroliny. Nazajutrz, o świcie, odlecieć mieli raz jeszcze w swych latających fortecach, wraz z setkami innych młodych Amerykanów, w drodze do ojczyzny, do rodzin, do radości życia.



Lotnisko amerykańskie i baza w Casablance



Zdobyc

Ciągnie cała rodzina



LATO DOGASA NAD ADRIATYKIEM

Korespondentka „Parady”
TADEUŚ PNIEWSKI



Dwóch Polaków i pięć signorin



Pinie nad-San Giorglo

Tędy, nad Adriatykiem, ubiegłego roku przeszła wojna, przeszedł w walce 2 Korpus. Dzisiaj nadmorskie miasteczka włoskie już tylko wspominają i przyszłością; powoli dźwigają się z ruin i wracają do tego, co kiedyś tu było — znów mają sezon kąpielowy. Wysokie ceny pokoiów i trudności komunikacyjne nie wszystkich odstraszyły — są goście z górskich miast, są i z Rzymu. Ten pierwszy sezon jest bardzo skromny, ale i niezwykły. Jest to sezon zmilitaryzowany i — polski.

Zeszłorocznymi zdobywcami i oswojonymi korzystają teraz z miejsc postoju, jakie rozłożono im nad Adriatykiem. Odnowili stare znajomości z bitewnego szlaku, ożywił asfaltowaną szesnastkę, zapamięli uliczki letniskowych miasteczek, wyszli na plażę. San Benedetto, San Giorgio, Pedasso, Porto Recanati... Wszędzie polskie tablice, autostopy i napisy nieraz zabawne: „Hajże na komara!”

Nadmorskie położenie miasteczek, wciętych pod wzgórze, umożliwia pełny wypoczynek po godzinach służby. Kraj włoski jest piękny, ludzie pogodni i przyjemni. Na stokach pełno winorośli — winobranie właśnie się zaczyna. Na wybrzeżu są ryby. Zmierzcem, ściągają z połowu żagłówki, wypełnione małutkimi rybkami, krabami dziwnych kształtów, poskręcanymi ośmiornicami. Ciężką łódź wyciąga na piasek, na kłocę podkładane, wysiłek całej rodziny rybackiej, ciągną wszyscy — krzepkie chłopaki, staruchy wąsate i najmniejsze dzieciaki. Czasem na plaży wypada szczególna uroczystość: poświęcenie nowej łodzi. Pęka wtedy butelka wina, rozbita o burty chrześniaka, pękają i inne butelki, wyodróżniane przez gości zaproszonych i przypadkowych. Rzecz jasna — nie brak i w tej okazji naszych żołnierzy. Polacy mówią już niezłe po włosku, zwłaszcza z bambinami i signorinami, przyjaźni jest więc wiele, daleko, daleko więcej, niż nieporozumień, które wywoływane są sztucznie przez trzęsienie, wrogie czynniki.

Adriatyk jest bajecznie kolorowy swą niespotykaną na Morzu Śródziemnym zmiennością barw. W chmurze południe, przelotnie tylko słońcem rozbijane, morze jest rzeką burzową o brzegu przeciwnym trawiastym, soczyście zielonym. Pełno w nim kwiatów rudawych, błyskiem słońca w purpurę zapalanych. Zmienia się oświetlenie, rozrzedzają się chmury — a wykrzywia się wtedy lub zanika trawiasty brzeg, kwiaty są już tylko żaglami łodzi rybackich... Morze jest znów lazurowe.

Słońce i woda, szeroki jak ramiona do uścisku gotowe horyzont, i oczy czyjes, jeśli są przed tobą, nie pozwalają dostrzec, że lato już dogasa. Po jesień trzeba wyjść z San Giorglo, ścieżką polną, między drzewa jeszcze szumiące, trzeba wchłonąć barwę rudyjących najpiękniej liści. Ze szczytu miasteczko białe nad wodą lazurową — stamtąd wycofuje się lato. Na polach wysuszonych, w lasku, ku któremu siewą wstążką skręca droga, w chmurach ciężko nad dalekim masywem gór zwisłych — jest już jesień. Jeszcze jedna. Jesień włoska.



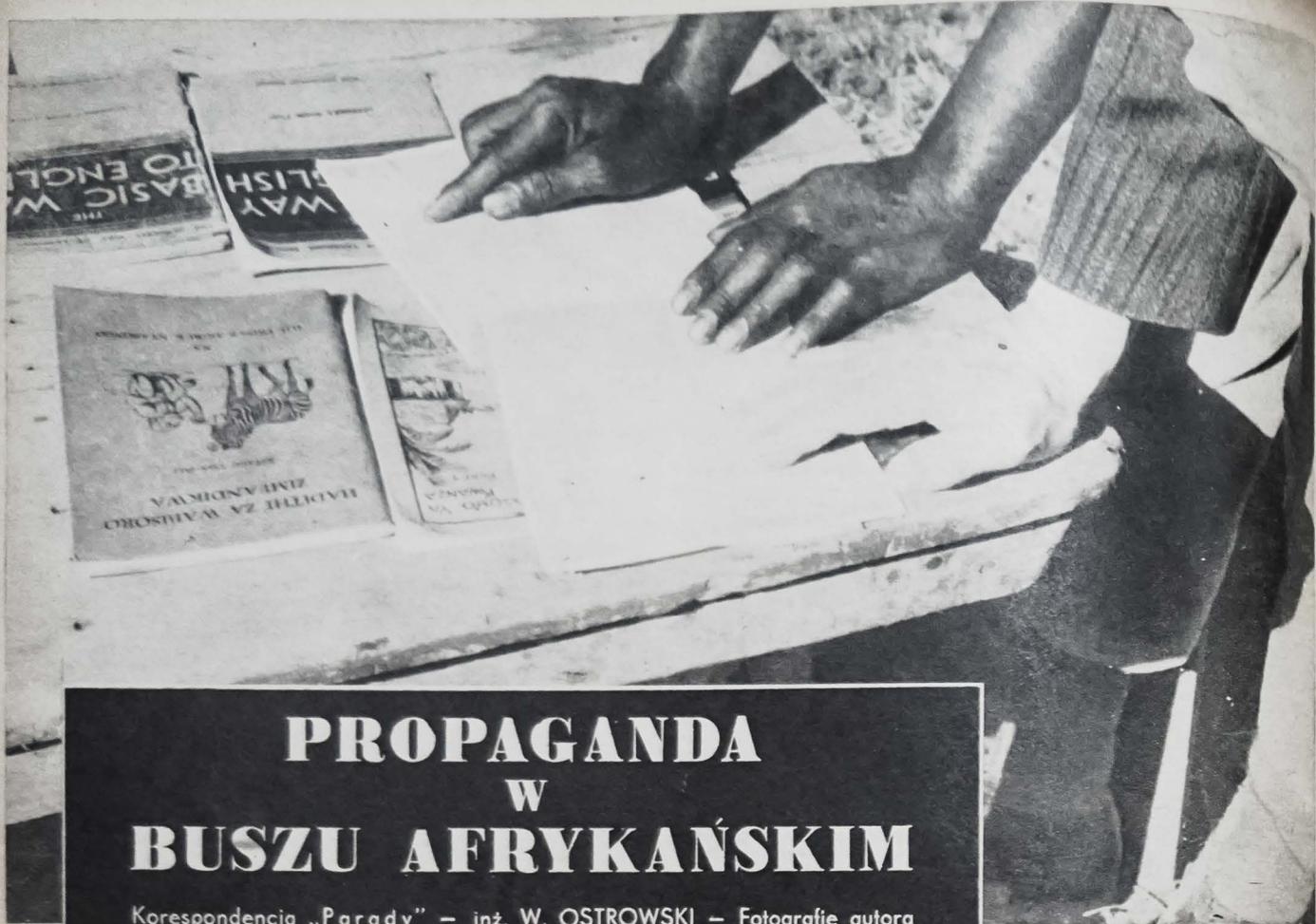
Grzeją wody na ciepły prysznic



Wielkie pranie...

W San Giorglo





PROPAGANDA W BUSZU AFRYKAŃSKIM

Korespondencja „Parady” — inż. W. OSTROWSKI — Fotografie autora



Czarni wojownicy odbywają przejeżdżkę na wozie pancernym

Propaganda, informacja — w naszym pojęciu, dysponuje w obecnych czasach ogromnym aparatem: radio, dzienniki, kino itd. Ale tu? Na tych bezniernych przestrzeniach stepów i buszu Afryki Wschodniej? W kraju, gdzie białych liczy się na tysiące a tubylców na miliony. Gdzie wiosek tych tubylców nie widać żadne drogi (w naszej terminologii!) natomiast dzielą odległości dziesiątek i setek mil, a mieszkańcy nie tylko nie umieją pisać i czytać, ale w rozwoju swoim są spóźnieni o... parę tysięcy lat.

A przecież właśnie z tych plecionych z trzciny chałupek, z tych lepianek rekrutują się czarni wojownicy, „Askari”. W buszu, w sawannie zostają ich rodziny, czarne matki, siostry, żony mówiące dziwnym językiem „swahili”, żyjące na bardzo niskim stopniu rozwoju cywilizacyjnego, ale... kochające tych swoich synów i mężów co wyjechali gdzieś bardzo, bardzo daleko i walczą o sprawy, które trudno połączyć z życiem w buszu! Te rodziny są ciekawe ich życia, czekają na ich listy. I otrzymują te listy! Nie, nie! To nie żadna omyłka drukarska, piszę wyraźnie listy! Listy z delekich łądów od nieumiejących pisać „Askari” — do buszu, do nieumiejących czytać czarnych rodzin!

Angielskie władze kolonialne i wojskowe sformowały specjalne lotne oddziały złożone z wyszkolonych i wysłużonych „Askari”. Nazwijmy je dla uproszczenia oddziałami „propagandy”. Mają one jednak raczej zadanie informacyjne. Informują busz i sawannę o życiu współczesnych czarnych wojowników. Robią to poglądowo, obrazowo, niekiedy wprost „namacalnie” — tak, aby czarny lud mógł to zrozumieć i przekonać się naocznie.

Taki oddział wędruje od wioski do wioski, zwołuje mieszkańców (dziwna rzecz, jak szybko wiadomość rozchodzi się w buszu, lotem ptaka, a raczej — dźwiękiem tam-tamów) i daje przedstawienie. I to jakiego! Byłem na takowym, widziałem, podkręcałem bardzo wysoką klasę i nadzwyczaj celowy dobór tematów obrazów. A to przecież jest najważniejsze. Budziło to we mnie nawet takie lekkie, leciutkie uczucie zazdrości, bo... przypomniałem sobie inne widowiska, na których ta strona wychowawcza powiedzmy, trochę szwankowała.

Przedstawienie zaczynało się pokazem gimnastycznym. Nie trzeba chyba przypominać zręczności i zwinności murzynów, aby stwierdzić wysoki poziom tych ćwiczeń. Wszystko na wesoło, z głośnym przekomarzeniem się w ich ojczystym języku. Potem — pokaz tego, cze-

go Askari nauczył się w wojsku. Jazda na motocyklu. Jazda nawet nie figurowa, a karkołomna. Jazda czarnego wojownika w sawannie. Skok motocyklem ponad pięcioma leżącymi kolegami ma już obrazować nie tylko jego zręczność, ale i odwagę prawdziwych Askari. Ćwiczenia artyleryjskie (z ostrym strzelaniem), z moździerzami, nawet... z wykrywaczem min.

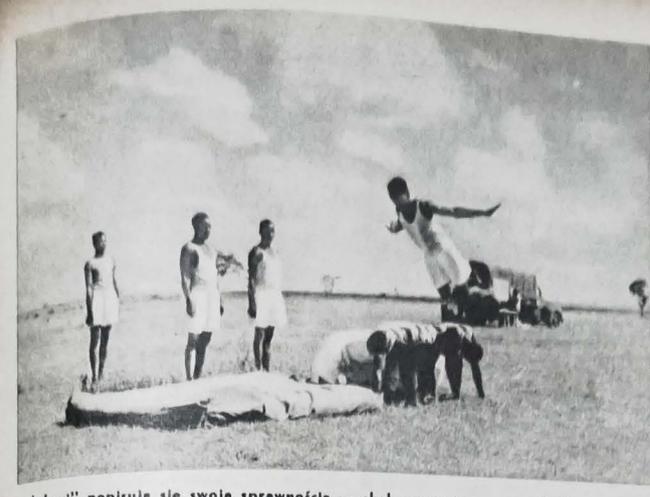
Jest i samochód pancerny. Pokazuje się „namacalnie” jego niezwykłą moc. Barwna pantomima przedstawia spotkanie prawdziwych czarnych wojowników ze stalowym smokiem. Dzida i strażą nie ugodzisz takowego. Możesz sam spróbować — przekonać się. A jak się przekonasz — możesz zawrzeć przyjaźń z twym bratem-Askari, siedzącym w tym smoku i przejechać się na pancerce.

Obok kucharze-Askari gotują jedzenie. Na talerzach wystawia się wszystko to, co Askari je w wojsku. Czarnemu ludkowi rozbiegają się oczy. Dobrze to rzeczy i obfite pożywienie. I Askari wydają okazale. Wprawdzie tłusci w naszym pojęciu nie są, a jednak tak zażywają, że prawdopodobnie przed paru dziesiątkami lat, tu, na tym Czarnym Łądzie, na ich widok nie jednemu współrodakowi pociekłaby ślinka.

Trochę dalej Askari demonstrują, że nauczyli się prażyć, szyc na maszynie i reperować buty!

No i te listy. W wojsku Askari może nauczyć się pisać i czytać w swoim ojczystym języku. Poglądowo obrazuje to szereg tablic z prostymi a jakże celowo dobranymi obrazkami. Są również wydobywane książki w języku swahili i czarny nauczyciel objaśni cię dokładnie. Uczą również mowy Białych Ludzi — języka angielskiego. Czy twój brat-Askari. Wiadysz na tej tablicy obrazek czarnego wojownika. Poznajesz? Przecież to twój „baba” — a po angielsku „ojciec”. Powtórz! To takie proste.

Naturalnie nie wielu Askari nauczy się sztuki pisania i czytania, a cóż dopiero mówić o tej umiejętności w buszu i sawannie. Jednak listy muszą być pisane i wysyłane. Listy muszą dochodzić i być przeczytanymi w buszu. Jak to się robi? Otóż w oddziałach Askari są specjalni przemyślnicy. Taki powie nam o nich żołnierz-pisarz. Taki powie nam o nich oficer — podoficer oświatowy. I Askari przychodzi do niego, tam gdzieś, i polali, czy równie odległej Burmie, i polali, że chce wysłać list do swojego „baba”. I listy idą. Krótkie naturalnie i bardzo proste, w języku „swahili”. Oto przykład z częściowym tłumaczeniem na polski: „Salaam na baada salaam. Wa salaam.



„Askari” popisują się swoją sprawnością — skok przez żywą przeszkodę



„Askari”-profesor wyjaśnia metodę nauki angielskiego stosowaną dla mieszkańców buszu

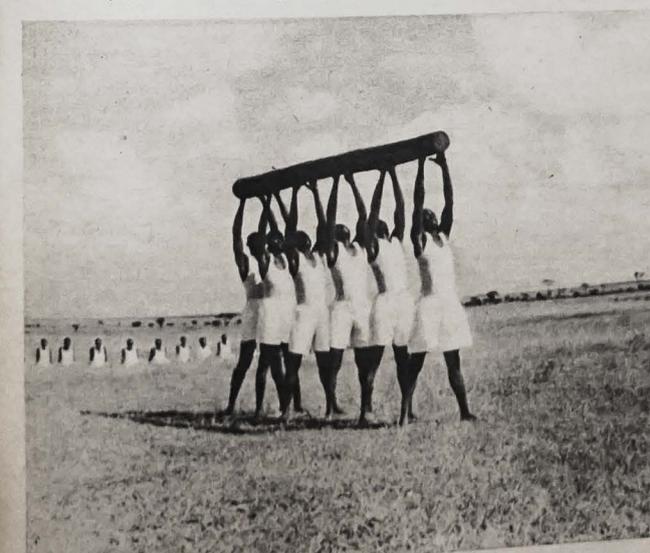


Skok przez „skrzynię”



Młody „Askari” i stary wojownik

Czarno-biały balet — ćwiczenia gimnastyczne na popisie „Askari”



Niegdyś żołnierze buszu wyglądali tak

Tak wygląda obiad w wojsku — dobry i obfity



(Pozdrowienia i jeszcze raz pozdrowienia). Mam się dobrze. Mam nadzieję wy też. Tu jest dobrze. Czy nasza krowa zdrowa?!”

To wszystko. Niewiele, ale czy to nie przypomina takich krótkich listków (tylko 25 słów, nie więcej) otrzymywanych przez Białych Ludzi w czasie tej wojny przez Czerwony Krzyż? I radość, ogromną, serdeczną ulgę po otrzymaniu choćby takiego króciutkiego listu od swoich. Tylko jestem głęboko przekonany, że te listki Askari dochodzą znacznie szybciej do czarnych wiosek, na Czarnym Łądzie, niż listy „Białych Askari” lub ich rodzin w Europie.

W wioskach murzyńskich rodzinom odczytywał te listy specjalny czarny urzędnik. I byli szczęśliwi, że ich brat, syn czy żona, „ma się dobrze” i że przesyła im takie serdeczne „Wa salaam”. I taką samą drogą odpisywali mu, zasyłając swoje „Salaam na baada salaam”.

Wracam do miasta. I nie mogę się odepść myślom. Widziany przed chwilą barwny obraz: rytm gimnastyki, tańce

wojowników, tłum czarnych widzów co przywędrował z wiosek z golasami-bachorami na plecach, wszystko to jednak chorami na plecach, wszystko to jednak nie tak mi zaimponowało jak właśnie te listy. Nie mogę pozbyć się przykrego uczucia, że przecież... przecież taki „czarny” wojownik w wielu wypadkach jest szczęśliwszy od „białego” wojownika, nie przecież ja od swego „baba” listów nie otrzymuję i nawet nie mogę się spodziewać. Czy doprawdy „biały” busz jest łatwiej do przebycia, niż prawdziwie „czarny” busz?

Zgrzyła hamulec naszego samochodu. Jesteśmy już pod miastem, już widać przedmieścia a tu... przy drodze stoi strzybie spokojniutko ogromna zyrafa i strzybie na mnie ciekawie długimi uszami, niż na mnie ciekawie siewek. Nie wychodząc nasz poczciwy siewek. Tak, dząc z samochodu prawdziwa Afryka, prawdziwa Afryka, dzika i pierwotna. Ale co właściwie oznacza wyraz „dzika”, „pierwotna”? Czy my używamy należycie tych słów? Mam wrażenie, że w odniesieniu do Afryki — nie.

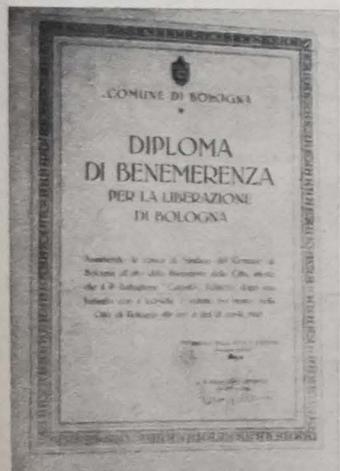
JAN KIELEWICZ

NA POBRZEŻACH „MARE NOSTRUM”

Przeszłość, najbliższa i najtrwalsza, a jednak uchodząca z wolna w niepamięć. Strzęp życia, wpleciony w ogólne dzieje, jak mepozorna nić w jednobarwne przedziwo. Żmudne dni wysiłku, efekty porywów, bezustanna walka, śmierć — odrobina szczęścia, zaznana w pobliżu sadyb lub gdzieś na odludziu. W zaruconym terenie, obwarowanym słupami granicznymi spórzędnych, namieszonych tłustą kredką na sztabowych oledach.

Minęła jak orkan, burzliwa i nagła. Przeszłość to już przecież, to, co wewnętrznym parło nakazem i ciągłą nawiastą groźbą. Żołnierski marsz. Etap przedłużonej wędrówki. Nowy kraj, obcy ludzie, radosne powitania i obojętne spojrzenia. Przeroczysty błękit z ożoconymi stożcem puszystymi kłębami, rozpylającymi się nad górskimi, zatopionymi w zielonym bezkresie, poważnymi „villaggi”. Węze asfaltu, kregami serpyntyn zaciskające wzgórze i pajęczyna niemilosierdnie kurzących wstęg. Pojedyncze wille o pretensjonalnych nazwach, dorodne cyprysy w wysięgu ku niebu i Matka Boska, wyglądająca zza zabłoconej szyby przydrożnej kapliczki.

Kto pierwszy wszedł do Bolonii?



Fotografia dyplomu pamiątkowego nadanego przez burmistrza miasta Bolonii na ręce Dowódcy DSK, dla 9 Batalionu DSK, który pierwszy wkroczył do Bolonii

W związku z ukazaniem się w jednym z numerów „Parady” (Nr 12-56) fotografii tych, co pierwsi weszli do Bolonii (5 KDP) oraz wzmianki w artykule „Polska w walce z Niemcami”, aby dać świadectwo prawdziwie trzeba powiedzieć, że Bolonia zdobyta została przez Korpus walki czołowej. Los Bolonii rozstrzygnął się w walkach 3 DSK nad Senio — Santerno i w walkach 5 KDP i 2 Brygady Pancerniej nad Galano.

Zaszczyt zaś wejścia i zajęcia Bolonii przypadł 9 Batalionowi 3 DSK, który wyprowadził inne oddziały będące na najbliższym kierunku.

A cały czas na zachodzie — zapluwający się pianą, niekiedy zakwiecony oparami — adriatycki pas szlifującego się wciąż diamentu. Bystre rzeczułki, szorujące kamieniste łozyska, szmerzące pacierz wiecznego ruchu. Wiejski cmentarz za zagajem, rząd żołnierskich mogił, pojedynczy grób z nałożonym na krzyżu hełmem. Rozwalony dom, spalony czołg, porzucona manierka. I coś żywego! Contadino za pługiem w żoźnym marszu za chlebem. Niekiedy — dziewczęcy uśmiech, wysmukła rączka i dwa węgliki jarzące się w oknie. W ustach cierpki smak „rosso”.

I wizgot kul. Niewinny terkot, jako podkład do poważniejszego słuchowiska. Stupy dymu, odłamki, kamienie. Ostatki sił, brak tchu i bolesna seria karabinu maszynowego, bijącego we własnej pierś. „Chłopczy, od prawego pojedynczo...! Uważać na miny”... Ciężko. Pot zalewa oczy, stalowa obręcz ugniata czaszkę, dretwieją zdrożone nogi. Gdyby choć można było zrzucić rkmowe ładownice. „W białym domu sniper”, kołaczę się w głowie. „Głupstwo, byle dojść, byle do wzgórze, tam wysunie się do przodu kompania czwarta”. Czyż jęk — kto? — a niech tam! rozpanięcia na potem. Naprzód! Przeszło natarcie, minęła kampania, skończyła się wojna. Tlą się popieliszca. Za nami spełniony obowiązek, w nas — ból zawodu i garść wspomnień. Nic więcej: Chyba żal po odeszłych i tęsknota za tymi, których rozproszył rozkaz. I już nie wspomnienie — ileż to czasul — a klechda o domu, gdzieś między Odrą a Słuczą.

List z oddziału. Kuczma awansował, Ryś się żeni, Wodziński dopiero co wyszedł ze szpitala... W postrzępionej opasce — egzemplarz albumu fotograficznego Dywizji. Castel di Sangro... Cassino... Ancona... Mte Fortina... Imola... Bolonia... Rząd symboli. A ileż to było walk, których nie utrwaliła żadna nazwa!

Czas się zatrzymał na tych kartkach. Znieruchomiał, aby za każdym popytem serca odtwarzać przeszłe i bliskie. Magia schwytanego w kamerę światła, tego światła, które ogarniało ziemię i depcząca ją żołnierzka. Długi korowód, rozdzielony pionowymi przekrojami zdjęć. Każde, w projekcji wyobraźni, rzuca pełny obraz — nie, zbiór obrazów! — w głębinie duszy. Stąd wspomnienia, rozważania.

Na San Benedetto i C-le Fratta grube okapy śniegu. Rdzawe plamy jedlin i sienne pasma grani. Bure, nawisające płachejska strzępią się o szczyty. Porywisty wiatr gra w przełęczach. W kotlinie — w Forli del Sannio — mży z dachów, na straskanym bruku mięsi się pod butami błoto.

Walka pozycyjna. Do pobliskiego Montenero, w kamuflażowych strojach chodzą patroli — polskie i niemieckie. Montenero — no man's land — bezpieczna wioska, której nie kwapią się zająć żadne wojska. Niemcy wolą przebywać w Alfedenie i niekiedy zjeżdżać tu na nartach; Polacy nie chcą zająć wioski z powodu jej niefortunnego położenia. Jedyna droga do Montenero prowadzi w podnóża zajętych przez nieprzyjaciela wzgórze — pozostawanie w wiosce grozi odcięciem. Saperzy niemieccy często minują drogę, nasi — rozbrajają. Niekiedy szcękają Nebelwerfery, uciska je nasza artyleria.

W Montenero witają Polaków z pretensjami, Niemców — zapewne także. Mieszkańcy mają dość tej zabawy. „Albo — albo! Albo zajmijcie wieś, albo wyńście się stąd w ogóle”.

Podosta z narażeniem życia informuje Polaków o położeniu nieprzyjaciela. — Widzi pan tę pieczarę pod stokiem, o, tę czarną plamę — mówi do mnie —

tam często nocuje niemiecka placówka. Możebyście urządzili zasadzkę! Trudno urządzić zasadzkę, samemu siedząc w worku. Nie, siadamy na kariery, aby wrócić „do chałupy”. Włoch jest wyraźnie zadowolony naszą odmową. Przecież to taka prosta rzecz!

— Nie martw się, signore, dobierzemy się do nich, aż się pierze pospyeli! Co ma wisieć... O, zapomniałem powiedzieć... Ponieważ jesteście odcięci od świata, AMG'ot przysię wam żywność...

Wieczorami, gdy pierwsze mroki poczyły otulać góry, Piekut wkładał granaty do kieszeni, przerzucał przez ramię Tommygun i szedł do Montenero. Do Angeli. Na przełaj przez góry, zaspasy śnieżne, głazy, wykroty. Co to dla niego znaczyło! Od kiedy to Hucul bał się gór lub noc? Ten krotochwilny, dwumetrowej wysokości szkielet, nie wiedział co to strach. „Dottore” — łapiduch z funkcji, patrolowiec z zamiłowaniem, gdzie było mordobicie, gdzie było ciasno — nie mogło go zabraknąć. I słusznie — jakby wojna wyglądała bez Piekuta?

Angela — najładniejsza dziewczyna w wiosce, miała dużo wojennego powodzenia. Kompania niemiecka zabierała ją z sobą do Alfedeny i trzymała przez dwa tygodnie. Gdy dziewczyna wróciła, nie zastała już rodziców: uszli przed Niemcami. Mieszkała odtąd sama. Odwiedzał ją zakochany Feldwebel, no i starszy strzelec Piekut. Jeden nosił Fleischpasteten, drugi — corned beef. Nie zetknęli się z sobą nigdy. Intuicja? Znaki umówione z dziewczyną.

Na stacji kolejowej w Alfedenie, położonej z dala od miasta, patrol polski został trzykrotnie zaatakowany przez Niemców. Była to pierwsza styczność polsko-niemiecka na ziemi włoskiej. Patrol nasz wycofał się po dłuższej walce, zostawiając w budynku stacyjnym przednio pojmany jeńców. Piekut opatrywał ranne go żołnierza w piwnicy stacji. Pozostał. Nacierający Niemcy zabrali swoich kolegów i wycofali się pośpiesznie. Któryś z nich nachylił się nad ciemną piwnicę, rzucił swoje „Donnerwetter” i także poszedł.

— Miałeś cykorię? — pytano potem Piekuta.

— Podwójna. Podarowałem Angeli swoje zdjęcie. Miałbym się z pyszną, gdyby mnie poznał ten mój Feldwebel.

Podostę wsadzili Włosi do kryminału. Pracował, kanalia, na trzy strony: dla Niemców, dla nas i dla siebie. Wywiad włoski od dawna go miał na oku. Wlepili mu osiem lat.

Nad Sangro



— Udało mu się — mówił Hucul. — Osiem lat chłopt nie będzie chleba ku...

Po zwycięstwie. Batalion, po blisko trzytygodniowym pobycie na pozycji — dwie kilkanaście godzin minęło od czasu, gdy żołnierze zostali zluzowani. Władze rządzenie. Po wybojach polnych dróg, załodowane sprzętem, skaczą baniami.

Na m. p. martwa cisza, skaczą baniami. czerpani, jak kłody rzeźby. Żołnierze w namiotach. Odzieni w kożuch — na rozpostartych kocach czyszczą broń. Własną i zdobytych i rannych. Z kuchen biją czarna, gęste dymy.

Apel. Na wąskiej polanie ustawiają się w czworobok kompanie. Wokoło falują polećka dojrzewającego zboża, białym deszczem syją okwitające oliwki. Dzień jasny, pogodny. W rozstojonej dali, za oparami bijącymi z doliny Rapido, garbi się podzwana ku niebu linia gór. Klastorna... Monte Cairo...

Żołnierze stoją w dziwnym, niezwykłym skupieniu. Batalion jest wyjątkowo nieliczny: wielu rannych przebywa w szpitalu, wielu pozostało na górze — na wazsze. Z trzeciej kompanii — na wazsze. młody dowódca, ranny, wrócił dopiero rano ze szpitala.

Ma przybyć dowódca brygady. Na razie w kompaniach częste „Odlicz” i „Równaj w prawo”.

Dowódca batalionu wodzi wzrokiem po szeregach. Szczególnie bacznie spogląda na kompanię trzecią. Przedtęga, przynębiająca cisza, wreszcie:

— Kompaniami raport! Pierwsza. Druga. Podporucznik Połocki, utykając lekko, zbliża się do dowódcy. Melduje głośno, swobodnie:

— ...trzecia, zebrana do apelu Stan: jeden oficer, trzynastu szeregowych.

Kochali się w niej wszyscy — cały batalion, nie wyłączając szefów kompanii i podoficerów gospodarczych. Dziesiątki zachwyconych oczu oprowadzały każdy jej ruch, dziesiątki tęsknych spojrzeń padały na okna pałacyku, w których ukazywała się niekiedy jej twarzyczka. Westchnienia ciche, skryte marzenia i niewypowiedziane hołdy szły za nią kornie, za dostojnością jej urody i wdzięku.

Udała się Giuditta wiosna, wczesna apenińska wiosna przegłądała się w tej dziewczynie. Smułka, gibka, hoża, z rozkwitającymi wdziękami uosobiła doskonałość cielesną. Blondynka, z przepyszną długą czupryną, czarnymi oczami, jak iskry żywymi, okrągłą twarzyczką, dwurzędem perlistych ząbków za karmionymi ustami, okrągłymi kształty piersi i bioder, zgrabnymi nóżkami — cudo. Wszystkie renomowane piękności mitologiczne, biblijne, historyczne i jakiegokolwiek inne przy niej — na zapiecek.

Smalili do niej cholewki co młodszy oficerowie i przystojniejsi podchorążowie. W pasach koalicyjnych, przy odnalezniach, „zapiecek na ostatni guzik”, pod różnymi pretekstami tłumnie walili do wili. Namnożyło się nie wiadomo skąd stroiciele fortepianów, śpiewaków, szachistów, fotografów, filatelistów, numizmatyków. Giuditta przyjmowała wszystkich jednakowo radośnie, dla każdego miała miłe słówko i czarujący uśmiech. Niestety, przy zacieknię współzawodnictwie i czujności rodziców nie mogło być mowy o jakimkolwiek zbliżeniu. Podsycała się tylko zawiść, potęgowała żal.

Niekiedy urządzaliśmy na dziewczynie „zasadzkę”. Jak żaki braliśmy się za ręce i zagradzali całą szosę. Rozpędzona na rowerze, wypadła z zakrętu i — za-

nosząc się od dziecięcego śmiechu — rwał się ten żywy, przysyłając nam pocające się w pedzie, przesyłała nam pocajające. Odprowadziliśmy ją nienasyconymi wzrokiem. Stońce grało na szprymach, biała sukienka migłała za drzewach, biała pukle rozpyływały się na wietrze, mi, jasne śmiechy tak długo, aż zniknęła Urzeczni, staliśmy tak długo, aż zniknęła za pierwszymi domami Morrovalle.

Często przyjeżdżał do niej narzeczony, docent uniwersytetu w Maceracie. Zazwyczaj, starszawy pan, z siwiejącymi skroniami i pokaznym brzuszkiem. Gdy przechadzali się po alejach parku, tworzyli chadźną parę: stateczny ojciec z przedwzrostną córką. Detaliśmy im po piętach, podnieceni złością i bólem. Przyszła sława prawa międzynarodowego była nie mniej podejrzliwa od prostego contadino.

— Ma chère! Je ne l'aurais jamais soupçonné... — paplał.

Z całego serca, jednomyślnie, życzyliśmy mu czegoś nagłego i niespodziewanego („Odzie on był, gdy nasza artyleria była na Maceratę?”). Zardłoby nas trwała, pospolita zardłoby bezsilnych ludzi.

Mśliszmy się po swojemu. Bywało zaczęci któryś Giudittę i — z głupia frant:

— Czy we Włoszech jest dozwolone kazirodztwo?

— Nie rozumiała. Patrzyła zdziwionymi oczami dużego dziecka.

— No... dlaczego wychodzi pani... za swego ojca?

Uciekała, zaploniona. Kryła się w salonie z książką lub robotką. Stroniła w takich chwilach od nas, od rodziców — od ludzi.

Odcuchaliśmy w kilkunastu do szkoły podchorążych. My, wygi frontowe, mający ukończonych po pięć i więcej kursów uniwersyteckich, poczuliśmy się nagłe krętami. Onieśmiała nas szkoła, a przy tym przyko nam było rozstawianie z oddziałem. Przebrakowano, że odpoczynek po akcji nadadriatyckiej już się kończy.

Inni się będą bili — a my? Ale nad wszystko — nikt się do tego nie przyznał — Giuditta!

W wilię wyjazdu, drąc battle dress'y i kalecząc się o żywopeł, podkradliśmy się do pałacyku. Mieliśmy napełnione chlebak i pistolety w garści. Cichutko, na palcach doszliśmy do portyku.

Dwieście rakiet wywaliłmy tegoż wieczoru. Fontanna ognia z czerwonych, zielonych i białych łuków ogarnęła pałacyk i park. Ściągały się po niebie kolorowe lampiony, zawisały na chwilę w powietrzu i, sycząc, padały jak kule na korony rosocahy drzew. Niebo gorzało łuną tęcza, w powodzi światła rysowały się kontury okolicznych budowli.

Giuditta wybiegła na taras. Jak dziecko klasała w rączki.

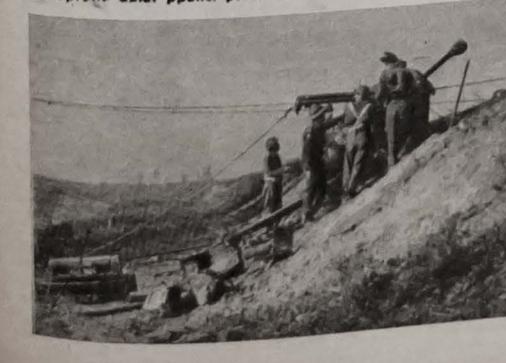
— Splendidamente! Mamma mia!

Natarcie rozpoczęło się wieczorem. Po dłuższym przygotowaniu artyleryjskim i falowych nalotach. Gdy w pozłocie zachodzącego słońca okwiecone drzewa mgdławe i dymy płonących stogów stopiły się w gęstniejącą zarość — ruszyła piechota.

Dwie kompanie posunęły się równolegle. Teren — płaski, zalesiony. Do drogi poprzecznej Benina-Ghetta żądnego oporu, dalej — miny. Patrole saperzy, w skwer okalający strzelisty kościół, w skwer okalający strzelisty kościół, w skwer okalający strzelisty kościół, w skwer okalający strzelisty kościół.

Jest kilku zabitych i rannych. Własna artyleria i moździerz biją bez przerwy. Reflektory — „sztuczne księżycy” — krzyżując się na niebie padają wielkimi łukami na zapleczce nieprzyjaciela. Działa biją pociskami wskaźnikowymi: kolorowe ognie syją nad celem garściami iskier. Rakiety pełnią nad międzyojciem świetne dyżury. Od strony nieprzyjaciela dolatują huk bombardowań — bombowe nocne i myśliwce przemawiają z ciemnego nieba. Ciągły bełkot Schmeisserów i Spandau'ów.

Przeprawa dział panc. przez Senio



Nad brzegiem Senio — dwa wysokie wały ziemne. Saperzy, wykorzystując niemiękkie wneki, wysadzają dynamitowe wyrwy. Dojazdy dla czołży szykają przeprawę. Kariery wożą łozdzie i kładki.

Przeprawić się nie można: z zachodniego wału odzyskują się jeszcze Niemcy. Na miejsce czołżów przybywają „Krokodyle” i kariery przybywają „Krokodyle”. Snyopy ognia, tryskające z rur, liżą nieprzyjacielskie stanowiska. Przedpole — kłębowski płomień; zdaje się, pali się niebo i ziemia.

Jedna z drużyn usadawia się na wale. Na przeciwnym brzegu bli się trawa, dogasają oszalowania schronów. Ścichi zgiełk walki, Niemców — ani słychu. Kompanie przed przeprawą czekają na działą panc., potrzebne na ewentualność przeciwnatarcia niemieckiego.

Dnieje. Bledną gwiazdy, za stożkowym C. Zanchini rozciąga się granat nieboskłonu. Strzelec Przybyła, leżący przy PIAT'cie, ocieżyłymi z niedospańcia oczami wpatruje się w mglistą dal.

— Widzisz co, Jurek? — szepta podczolgujący się drużynowy — podporucznik Bniński.

— Nic, panie podchorąży... panie poruczniku.

Bnińskiego o nominacji powiadomili radem z PD w czasie natarcia. Na naramiennikach nosi jeszcze dwie „belki”.

Leżą razem, wsłuchani w ciszę wiosennego przedświu. W ciszę, aż dzwoniący w uszach. Ciężą głowę, lepią się powieki.

Nagle od strony szosy Felisio-Solarolo — ściszony odległością, wstępujący wciąż szmer. Chrząst, dudnienie.

— Dużo masz amunicji? — pyta ppor. Bniński.

Jeden pocisk. Amunicja do PIAT'a wzbucha podczas natarcia od ognia niemieckiego. Zabija amunicyjnego, zrania kilku ludzi.

— Ładuj!

Łoskot coraz głośniejszy. Z ciemności wynurza się czarna plama, rosąca, coraz ostrzejszych konturów. Przypłaszczony dzwon z długim nosem działa.

Obaj żołnierze czują bicie serca, wzruszenie tamuje im oddech.

— Wal z bliska... jeden pocisk... — szepta Bniński. — Nic nam nie zrobimy, szczerwamy się za wał...

SP zbliża się: sto metrów... sześćdziesiąt... czterdzieści...

Przybyła celuje wolno, wolnutko. Jest na wpeł przytomny z emocji. Tak blisko, Jezusie Nazareński! Zamiera na chwilę, gdy pociąga za język spustowy.

Suchy trzask odpalenia i — metaliczny stuk pocisku o panczer. Niewybuch!

Działo dojeżdża do wału. Podnosi się kłapa. Widać wyraźnie wychylającego się Niemca. Szuka swoich, których miał wesprzeć przy przeciwnatarciu.

Bniński składa się szybko i wali z karabinu. Prosto w ów czerniejący kombinizon. Jeszcze nigdy nie strzelał do tak bliskiego celu.

Błysk, huk odpalenia, powtarzany przez echo i — jednocześnie — gwizd rykoszety, wracającego od pancera.

Kłapa zamyka się błyskawicznie. SP odwraca się i na pełnym gazie — wyrzucając gąsienicami fontannę piachu — odjeżdża w stronę Solarolo.

Zza rzędu przydrożnych drzew i pojedynczych chat, z kurzem gonącym poszossie płynie mrok zapadającego wieczoru. W skwer okalający strzelisty kościół, w skwer okalający strzelisty kościół, w skwer okalający strzelisty kościół, w skwer okalający strzelisty kościół.

Z Bolonii jadą rowerzyści. Wielu dołch morosłych cyklistów, wiele młodych

Idę — przed Bolonią



Pod Monte Cassino

dziewcząt w krótkich sukienkach. Bieleją kolana i obnżone uda. Śmiechy, nawoływania, melodjone „Buona sera!”

Na schodach piętrowego domu, wokół harmonisty — grupa żołnierzy. Harmonia, jak wszystkie z Castellidardo, jest bezprzepracowaną oryginalną włoską. Koncertowo, z szefkami rzedami basów, gitarą i piękną klawiaturą, pokrytą wzorzystą masą. Płynie ulewa dźwięków.

Ricordi queste sere Passat al Valentino

... śpiewa któryś z żołnierzy, fałszując podwójnie melodię i tekst.

Stary Lambert, siedzący opodal na zydlu, zapatrzonny we własne kolana, poważnie pyka fajkę. Miedziany refleks pada na zoraną zmarszczkami twarz, na siwe brwi i jeszcze bardziej siwe kosmyki szczerwawych włosów.

Przy oknie krząta się Antonietta — młoda, tęga dziewczyna o pucioławej twarzy i bujnych piersiach. Nosi chustkę na głowie: niestraszna „partigiana” — strzygli ją za „współpracę” z okupantem. Na próżno plutonowy Postalski atakuje zabójczym wzrokiem skrzywdzoną piękność. Napiętowanej dziewczynie nie skoro do amorów. Spogląda nieufnie, pochmurno.

— Nie przejmuj się — pociesza ją Połaskiego koledy. — Oswoi się, będzie z ręki jada.

Mała Eulalia szarpie Pirge za kudły. Kundel jęknął cierpliwym jak owca, ocieżył i tepy. Wywalił płachtę wielkiego jezora, dyszy ciepko i przekrwionymi ślepiami spojiera sponde łba na dręczycielkę. Ples jest uwiązany łańcuchem do drutu, drut — napięty między bramą a uszką gruszą.

— Nie przejmuj się — pociesza ją Połaskiego koledy. — Oswoi się, będzie z ręki jada.

Przechadzamy się z kolegą poetą. Idziemy wąską drożką w pole. Za trawnikiem wili i grupą drzew ciągną się tany żrącego zboża. Chyli się ku nam zwarta ściana konopi. Siano na kopach rozsiewa mocny, swojski zapach, zapamiętany z dzieciństwa. Z pokrytego rzęsą stawiku rozlega się przeciągły rechot.

— ...obserwując przyrodę — mówi poeta — notuję sprostżenia, pomysły, metafory, rymy. Te strzępy myślowe służą mi do kompozycji... Natchnienie — to właściwie zdolność transpozycji sprostżeń i doznań uczuciowo dojrzałych... O, spójrz na przykład na ten samotny cyprys: wgardzony i gardzący, dumny w swej samotności...

Zbliżył się do obiektu poetyckiego. Patrzmy: topola.

Ciemniej. Rozpylają się zarysy domów, dzwaczają kształty drzew. W oknach zapalają się światła. W krzewach roją się miliardy żywych iskier. Nad nas, w nadobłocznych wyżynach toczy się

obrzęty dysk, migotliwie linaż złote punkelki, padające skry kreślą bladobłękitne, gasnące linie.

Na wioskę zapada noc.

Cień żelaznego Solimana Paszy szczerwobą wskazówką obraca się po brzozy płacyku. Strugi światła spływają z frontonów, rozlewają się po asfalcie, płyną łozyskami ulic. Samochody, dziesiątki samochodów rozwoła słońce na emalich. Na atoczonych chodnikach, w wiecznym hazardzie ruchu lasują się chlamidy i drelichy, leży i berety. Na ulicy sprzedają kawę, pieczoną kukurydzę, fistaszki i kwiaty — spleane w bukiety kwiaty, rożniące zwiedle płatki pod nieczyste stopy.

— Sochnal — Hassan Ali wachuje się chustką, którą przed chwilą scierał kurz ze stołu.

Racja, gorący Śmieszny wentylator na próżno mocuje się ze stożcem. Przez otwarte drzwi balkon bija łańcuch trzę-

Pacnie surowizną i larbą drukarską, butwiejącym drzewem i pleścią. Starość, mądrość i bezwał rozsądane przez czas. Na stole, przed zadumany żołnierz — stony bezładnie rozrzucone: makulatury: książki, czasopisma, dzienniki, biuletyny, komunikaty...

A na honorowym miejscu, od dłuższego już czasu, leży rozpostarty album Dywizji, na nim — ostatni list z oddziału.

Krajobraz — w okolicy nadadriatyckiej

— Elektryczny pies — twierdzi Eulalia — chodzi jak tramwaj w Bolonii.

Przechadzamy się z kolegą poetą. Idziemy wąską drożką w pole. Za trawnikiem wili i grupą drzew ciągną się tany żrącego zboża. Chyli się ku nam zwarta ściana konopi. Siano na kopach rozsiewa mocny, swojski zapach, zapamiętany z dzieciństwa. Z pokrytego rzęsą stawiku rozlega się przeciągły rechot.

Zbliżył się do obiektu poetyckiego. Patrzmy: topola.

Ciemniej. Rozpylają się zarysy domów, dzwaczają kształty drzew. W oknach zapalają się światła. W krzewach roją się miliardy żywych iskier. Nad nas, w nadobłocznych wyżynach toczy się

Str. 1 — fot. A. F. Kersting, „Parada”
Str. 2: fot. T. Szumowski
Str. 3: fot. „Parada”; (1) Młodnicki, (2, 3, 4) A. F. Kersting
Str. 4: fot. „Parada” (1, 3, 4) W. Radwan-Kukulewski, (3, 5) A. F. Kersting
Str. 5: fot. „Parada”; (1) Młodnicki, (2, 3) A. F. Kersting, (4) W. Radwan-Kukulewski
Str. 6 i 9: fot. K. Hryniewicz i M. Chelski
Str. 10 i 11: fot. inż. W. Ostrowski, Str. 12 i 13: fot. Album fotograficzny „3 DSK w Italii”, cz. I i II
Str. 15: fot. British Official Photogr.
Str. 16 — fot. British Min. of Inf.
Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI



Nowoczesna Kleopatra